



Mirosław Derecki „CZAR KAZIMIERZA”

Zenka Chuligana nalali u Berensa młodzi koledzy – autochtoni i to był jedyny w tym roku na terenie Kazimierza poważniejszy incydent, na który przypadkowy wczasowicz nie zwrócił nawet uwagi. Jednak starzy bywalcy nie mogli opędnąć się od smutnej refleksji. - Niedobrze się dzieje w mieście, skoro nawet Zanka biją...!

Zenek był dotąd uważany nieomal za instytucję gwarantującą spokój i bezpieczeństwo, przynajmniej jego znajomym, którzy zjeżdżali do Kazimierza w celach niekoniecznie wyczynowo-zapaśniczych. Wystarczyło „znać Zenka”, a miało się w pewnych sferach młodzieżowych zapewnioną nietykalność osobistą przez całe wakacje. Ale Zenek wolał ostatnio pracować na łączu telewizyjnym...

Przykład Zenka służy za dowód, jak nawet chwilowe spoczęcie na laurach brak ciągłej samokontroli i stałego doskonalenia może niepostrzeżenie doprowadzić do ogólnego krachu.

A Kazimierz? Pozornie idealne warunki. Piękna pogoda, wyjątkowo niski stan Wisły, ciągnące się kilometrami piaszczyste łąchy, wąwozy nareszcie bez błota, na Albertówce obfitość jagód i grzybów, wreszcie samo miasteczko, schludne, wybrukowane, wylane asfaltem i... zupełnie puste. Nagle zabrakło letników.

Smutny ten fakt skwapliwie odnotowała w swoim czasie prasa codzienna, przechodząca jednak dość pobieżnie nad istotnymi przyczynami „upadku Kazimierza” i „nieudanego sezonu”. Po sezonie warto się zastanowić, dlaczego wczasowicze zmieniali często w ostatniej chwili wakacyjne plany, a miasto i jego mieszkańcy stracili grube tysiące złotych włożone w przygotowanie do sezonu, nie mówiąc już o spodziewanych zyskach.

Z wielu przyczyn chyba trzy wysuwają się na pierwszy plan: gastronomia, drożyzna lokalowa i komunikacja.

Gastronomia

Pomimo kilkudziesięcioletniej już sławy Kazimierza, jako zawsze modnej, tłumnie uczęszczanej miejscowości wczasowej, w mieście istnieją tylko dwie placówki zbiorowego żywienia. Restauracja „Esterka” i bar mleczny „Miś”. Jak na miejscowość do której zwała się co

miesiąc kilka tysięcy osób - podejrzanie mało. Złe zaplecze kuchenne, niewielka ilość personelu powodują, że „u Berensa” ludzie czekają godzinami na wolny stolik, a w barze mlecznym formują się kilometrowe kolejki. W dodatku w „Esterce” trzy razy w tygodniu odbywa się dansing. W tych dniach od godziny 18 (a często już od 17.30) obowiązują karty konsumpcyjne w cenie 30 zł od osoby, natomiast bar mleczny czynny jest tylko do godz. 18, ponieważ personelu pracującego w sezonie po dwanaście godzin na dobę, to jest od 6 rano, na więcej już nie stać, a dyrekcji Barów Mlecznych w Lublinie nie stać podobno z kolei na zwiększenie ilości etatów i przedłużenie czasu otwarcia. Koło się zamyka!

Siłą rzeczy po powrocie z plaży nie można już zjeść ani późnego obiadu, ani wczesnej kolacji.

Pomysł wybudowania kilku tanich letnich pawilonów gastronomicznych, które rozwiązałyby sytuację i (o dziwo) przynosiły zyski, nie trafia widocznie do świadomości ojców miasta ani do instytucji, którym podlegają zakłady zbiorowego żywienia.

Oczywiście istnieją jeszcze w Kazimierzu inne miejsca, w których zaspokaja się głód. Obok przystani kajakowej postawiono pawilonik gastronomiczny, w którym można się napić oranżady, wina i piwa, a także zjeść bigos, ewentualnie „odgrzewaną puszkę gulaszu”. Na ulicy Lubelskiej prosperuje bar „Pod Jeleniem” - wódka, piwo, ogórki kiszzone, wreszcie półtora km od Rynku Dom Wycieczkowy PTTK z doskonałą kuchnią i zastrzeżeniem: tylko dla wycieczek! Osoby postronne mogą ubiegać się o prawo do posiłku dopiero po godzinie 17, jeżeli „coś” zostanie.

Zrozpaczonemu kandydatowi na konsumenta pozostaje jeszcze możliwość pójścia do restauracji „Swojskiej”, w której po zapłaceniu kolosalnego rachunku (np. za 5 porcji wątróbki, rachunek wyniósł około dziewięćdziesiąt złotych) bosonogi kelner i właściciel lokalu w jednej osobie tłumaczy z rozbajającym uśmiechem: - „Ale za to koniaczku nie zamawiano i nie wliczano, wina nie zamawiano i nie wliczano...” itd... I człowiek płaci zadowolony, bo przy sąsiednim stoliku siedzi ktoś, kto nieopatrznie zamówił cyrankę.

Tyle o gastronomii. Co będzie dalej? Być może , że w najbliższej przyszłości Kazimierz stanie się znowu miejscem ściągającym liczne rzesze turystów, tym razem zagranicznych, przyjeżdżających specjalnie po to, żeby obejrzeć na rynku i w jego najbliższej okolicy tłumy koczujących, półnagich postaci, gotujących nad ogniskami lichą strawę...

Ojcom grodu pozostanie wtedy tylko postawienie u wjazdu do miasta dużej reklamowej tablicy: „Visitez Kazimierz – miasto z epoki kamiennej”. Jak bowiem wiadomo, w Kazimierzu istnieją kamieniołomy.

Mieszkania

Kto nie może mieszkać w SARPIE, a nie chce korzystać z 40-osobowych pomieszczeń w Domu PTTK, musi się udać na poszukiwanie pokoju u prywaciarzy. Po 30 zł od łóżka dziennie. Hurtem za cały miesiąc wypada trochę taniej, bo przeciętnie tysiąc złotych za pokój. Cena

niebagatelna, a w zestawieniu np. z Sopotem, w którym za 1300 złotych można wynająć całkiem niezłe lacum, nabiera specjalnego smaczku. Ceny podskoczyły kilka lat temu w okresie wyjątkowo korzystnego sezonu. Pomimo mniejszej frekwencji w latach następnych, właściciele domków są nieugięci.

I... nieugięci miłośnicy uroków Kazimierza, niezrażeni wyśrubowanymi cenami, gotowi byliby płacić. A że jednak nie ściągają na wakacje? Być może czują rodzaj niesmaku, że pod koniec pobytu gospodarz domaga się dopłacenia 7 zł 50 gr „za światło”, że często zabrania kategorycznie przychodzenia do domu po godzinie 23, że jak długa i szeroka ulica Krakowska, bez własnego samochodu ani przystęp, bo właściciele willi w tej części miasta licytują się wzajemnie ilością letników posiadających auta.

„Jak się komu nie podoba, niech nie przyjeżdża. Był Kazimierz, będzie Kazimierz”.

I nie przyjeżdżają.

Komunikacja

Podstawą prawidłowego funkcjonowania miejscowości wczasowej jest dobra i wygodna komunikacja. W okresie letnik rozkład jazdy PKS jest więc w samym tylko Lublinie upstrzony cyframi oznaczającymi odjazdy autobusów do Kazimierza. Od szóstej rano do 19.30, przeciętnie co 2 godziny autobus.

Żeby jednak autobus dojechał do Kazimierza, musi wyjechać z Lublina, a w dodatku podróżny winien posiadać bilet. Tutaj zaczynają się kłopoty.

Pokrótkie czynności związane z podróżą do Kazimierza przedstawiają się w sposób następujący: ponieważ kasa dworcowa PKS nie sprzedaje biletów, należy się w nie zaopatrzyć poprzedniego dnia w „Orbisie”. W przeciwnym wypadku jest się skazanym na szturmowanie wraz z rozjuszonym tłumem spoconego konduktora u wejścia do samochodu (kiedy ma się bilet, wystarczy tylko przebić się przez tłum, ponieważ nie jest w zwyczaju, aby posiadaczy biletów orbisowskich wpuszczał drugimi drzwiami np. kierowca). Oto założenie teoretyczne. W praktyce, o oznaczonej godzinie autobus nie zjawia się. Po półgodzinnym oczekiwaniu podróżny udaje się do dyżurnego ruchu z prośbą o wyjaśnienie. Dyżurny ruchu wyjaśnia uprzejmie, że nie wie. Uprzejmie dodaje, że skąd ma wiedzieć, skoro autobusy, o których mowa, należą do ekspozytury w Puławach, a on reprezentuje ekspozyturę lubelską. Podróżny w sposób niegrzeczny pyta, czy nie można na przykład nawiązać stałej łączności telefonicznej pomiędzy ekspozyturami, żeby wiadomo było co i jak. Dyżurny uprzejmie wyjaśnia, że nie.

Można by pójść teraz na 2 godziny do kawiarni i tam zaczekać na następny autobus, jednak ten spóźniony może tymczasem nadejść... i odejść, a w takim wypadku spada się o klasę niżej, bo bilet nie wykorzystany traci ważność. Dojeżdżający stale do Kazimierza znaleźli jedyne możliwe wyjście – w ogóle nie korzystając z usług PKS. Podróżują „na łebka” ciężarówkami.

Ekspozytura PKS w Puławach tłumaczy istniejący stan rzeczy złą jakością posiadanych autobusów, brakiem odpowiedniej bazy remontowej, etc.

Na marginesie uwaga nie związana bezpośrednio z Kazimierzem. Na tej ruchliwej i usianej licznymi przystankami trasie wprowadzano autobusy, w których bilety sprzedaje kierowca. Pomysł w zasadzie dobry, ale w zgoła odmiennej sytuacji. Tutaj cała „innowacja” sprowadza się do „wypadania z rozkładu jazdy”, szarpania nerwów pasażerów i kierowców. Tymczasem do Łodzi, Warszawy czy Zamościa mkną autobusy pośpieszne z nudzącą się 2-osobową załogą. Może w grę wchodzi względy reprezentacyjne?

W Kazimierzu w ciągu kilku lat zrobiono bardzo wiele. Uporządkowano miasteczko, wybudowano parking samochodowy, oświetlono ulice. Dokonano rzeczy wielkich, na średnie i małe nie było już czasu, a potem pozwolono sobie na chwilę wytchnienia. I właśnie dlatego muzeum jest ciągle w remoncie, na plaży miasteczka, które słynie z przemysłu wikliniarskiego, stoi aż dwadzieścia kilka koszy plażowych, na tej samej plaży od kilku lat nie można doczekać się kiosków z żywnością i napojami chłodzącymi, sklepy spożywcze coraz gorzej zaopatrzone, jedyny kiosk z nabiałem zlikwidowano w bieżącym sezonie.

Tylko kino jest w Kazimierzu jak zawsze niezawodne. Miłe, przytulne, z dobrymi filmami, jak każde kino pozwala oderwać się na chwilę od rzeczywistości. Może dlatego kierownik nie narzeka nigdy na brak widzów.

Takie uroki przedstawiał sobą Kazimierz w minionym sezonie. Jak wino za 17 złotych butelka. Etykieta efektowna, ale zawartość niezbyt szlachetna.

P.S. Po napisaniu niniejszego artykułu przypomniałem sobie, że w Kazimierzu istnieje jeszcze jeden punkt zbiorowego żywienia. Jest to tak zwana smażalnia ryb. Można w niej dostać i zjeść na miejscu smażonego dorsza. Znajduje się zaraz za rynkiem, po tej stronie co Oddział PTTK.

Pierwodruk: „Kamena”, 1963, nr 18, s. 9,12.